

## Jason Bourne a sprawa polska

Odkąd po raz pierwszy obejrzałem ekranizację Tożsamości Bourne'a ze świetną rolą Matta Damona nie mogę się pozbyć myśli, że to jedna z najlepszych metafor sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się w 1989 roku.

Prymus, skwapliwy naśladowca europejskich wzorów, skromna panna na wydaniu, którą bogaci krewni zaszczylili zaproszeniem i uwagą? A może światło ze Wschodu, słowiańska dusza z wyższością patrząca na zepsucie oświeconej Europy albo co gorsza, zepsuciem tym już nadpsuta? Kim jesteśmy? Kim być powinniśmy? Dziarską obsługą zainstalowanej nad Wisłą kserokopiarki, Telimeną i Podczaszycem zmieniającymi gust w rytm paryskiej lub berlińskiej mody, czy raczej dumnym Wschodem, który na dziecięcą chorobę nowoczesności patrzy w wyżyn duchowej potęgi słowiańszczyzny i Bizancjum?

A może jeszcze kim innym? Kimś, kto nie mieści się w stworzonych w dobie oświecenia kategoriach: katolickimi dziedzicami rzymskiego republikanizmu, niemówiącymi po łacinie łacinnikami, ukształtowaną przez rzymską formę Północą, której skradziono blisko 200 lat podmiotowej polityki, odbierając zarazem szansę na własny kształt nowoczesności?

Problem nie jest wcale teoretyczny. Widać go na każdym kroku. Trudność wyjaśnienia, kim jesteśmy, skąd przychodzimy, co robimy w miejscu, w którym na zdrowy rozum powinno nas już nie być i o co właściwie nam od ponad ćwierćwiecza chodzi, komplikuje naszą zdolność działania i relacje ze światem. To kłopot, którego nie rozwiąże najlepsza nawet firma PR-owska.

Dlaczego? Bo problem nie w komunikacji, lecz w tym, że sami nie znamy zadowalającej odpowiedzi. Nie znamy albo, co gorsza, nie pamiętamy. Wyleciała nam z głowy, zatarła się, nie możemy jej sobie przypomnieć. Owszem, sufluje się nam rozmaite odpowiedzi, ale żadna nie wydaje się dość dobra. Choć nie wiemy, kim jesteśmy, to przecież nie znaczy, że nas nie ma, że nie ma właściwych nam nawyków, odruchów, aspiracji, tradycji – polskiej formy, polskiego stylu życia.

Odkąd po raz pierwszy obejrzałem ekranizację Tożsamości Bourne'a ze świetną rolą Matta Damona nie mogę się pozbyć myśli, że to jedna z najlepszych metafor sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się w 1989 roku. Tytułowy bohater powieści Roberta Ludluma ciężko ranny, cudem wyłowiony z morza mężczyzna, odzyskuje przytomność i siły, ale nie pamięć. Żeby dowiedzieć się, kim jest Jason, który jak sądzę nie przypadkiem nosi imię przywódcy Argonautów, będzie zmuszony do przeprowadzenia śledztwa we własnej sprawie. Musi wyruszyć na wyprawę, która pozwoli mu poznać, kim był i co go ukształtowało, odbyć podróż, której trudy pomogą mu zrozumieć własną tożsamość. Jednak zanim jeszcze pójdzie tropem śladów pozostawionych w poprzednim życiu, zdąży zorientować się, że nie jest niezapisaną tablicą.

Mimo że Bourne nie jest świadomy swojej tożsamości, to ona trwa. Widać ją w głęboko utrwalonych skłonnościach, potrzebach, nawykach i umiejętnościach, które ujawniają się pod wpływem rozmaitych bodźców. Przeszłość uformowała go, nadała mu kształt. Choć Jason nie pamięta ani kiedy, ani dlaczego nauczył się prowadzenia samochodu, konwersacji w obcych językach czy walki wręcz, to te sprawności posiada, one w nim istnieją, stanowią istotny wymiar tego, kim jest (i kim nie jest zdolny nie być). Od tych śladów zacznie się śledztwo. To bardzo ważne wskazówki mówiące o naturze i losach bohatera, nieusuwalne składniki tożsamości, które musiałby zabrać ze sobą nawet gdyby postanowił zerwać z przeszłością, zacząć od nowa, stać się kimś zupełnie innym. Tożsamość Bourne'a trwa mimo utraty pamięci, mimo błędnych hipotez, mimo niezdolności do rozumienia, kim jest i skąd pochodzi. Amnezja to nie reset.

Kiedy w 1989 roku Polska powoli odzyskiwała przytomność, zrazu sądzono, że w ogóle nie musi przypominać sobie, kim jest, nie musi zastanawiać się, co ukształtowało jej polityczne nawyki, odruchy, przyzwyczajenia, jej aksjologię, aspiracje, sposób myślenia, niepowtarzalny styl życia, unikatową formę. Wielu wydawało się, że Polsce wystarczy wiedzieć, kim chciałaby zostać, a reszta to już „tematy zastępcze”. Z różnych względów, wśród których najważniejsze okazały się antywspólnotowe fobie i projekt pojednania z komunistami, pierwotnym planem było pogłębienie amnezji. Doraźnym potrzebom politycznym w sukurs szła szczepiona od pokoleń oikofobia. Zaborcy i okupanci uczyli gardzić własną przeszłością tak skutecznie, że zdaniem wielu to właśnie pamięć i tożsamość stanowiły naczelnych wrogów wolności, indywidualizmu, nowoczesności. Patriotyzm rymował się z szowinizmem, wspólnota z ksenofobią, republikańska tradycja miała być z natury gorsza od absolutystycznej, katolicyzm ani tak głęboki jak

prawosławie, ani tak etyczny jak protestantyzm. A demokracja szlachecka? A ustrój mieszany? Cóż, anarchia, anachronizm i rozkład. Skarykaturować, wyprzeć się, zapomnieć. Abstrahować od złych nawyków. Zacząć od nowa.

To nie mogło się udać. Polityczna kultura wspólnoty trwa również wtedy, gdy nikt nie jest jej świadom. Jazon pozostanie sobą nawet jeśli uwierzy, że jest zwykłym przybłądą, a król Pelias – uzurpator, który odebrał tron jego ojcu – jest prawowitym królem Jolkos. Operacja resetu przez pogłębienie amnezji wstydem nie powiodła się, bo ten rodzaj politycznej tożsamości, która przetrwała mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, zniszczyć można wyłącznie przez eksterminację. Próba imitacyjnej modernizacji – dziwnej, bo nie biorącej za wzór żadnego konkretnego kraju, lecz ideologiczny konstrukt rodem z „duty free zone” była zmarnowaniem czasu, entuzjazmu i energii. Projekt napisania nas od nowa nie miał żadnych widoków powodzenia. Nawet gdybyśmy chcieli, nie potrafimy zostać Niemcami czy Francuzami, tak samo jak nie potrafiliśmy zostać Rosjanami, Prusakami czy Austriakami. To nie w ludzkiej mocy.

Polityczna kultura wspólnoty trwa również wtedy, gdy nikt nie jest jej świadom.

Kiedy więc zaczęliśmy dochodzić wreszcie do przytomności, kiedy wyszła na jaw prawda o utraconej

pamięci i królewskim rodzie, pojawiło się – zrazu bardzo nieśmiało – pragnienie lepszego zrozumienia, kim właściwie jesteśmy, a równocześnie pragnienie podmiotowości (i chęć odzyskania władzy). Wraz z nim zaś – pierwsze przebłyski świadomości, ile trzeba sobie

przypomnieć, przemyśleć i przedsięwziąć, żeby dojrzeć do swojej roli, sprostać próbom czekającym w prawdziwym życiu. Ponieważ straciliśmy dużo czasu, ciągle jesteśmy dopiero na początku drogi. Czy – jak twierdzą zwolennicy programu imitacji – jest to droga prowadząca nieuchronnie do idealizacji przeszłości, do narodowego narcyzmu? Czy namysł nad tożsamością grozi budową skansenu dla sarmackich amiszów? Cóż, takie ryzyko niewątpliwie istnieje, ale przecież założenie, że każda próba zrozumienia własnej tożsamości musi skończyć się katastrofą jest – zgódźmy się – wyjątkowo niemądre.

Nie o samouwielbienie przecież idzie, ale o skuteczną modernizację – o realizm w ocenie właściwych nam motywów, pragnień, potencjału, talentów i ograniczeń, słowem o realizm dający widoki na zbudowanie silnego i nowoczesnego państwa. Mimo lat pojenia letejską wodą, wpajania nawyków autoagresji, mimo eksterminacji i inżynierii społecznej, trudno ukryć, że jesteśmy inni, że różnimy się choćby od naszych sąsiadów. Bourne to Bourne. Owszem, w niejednym powinien się pewnie zmienić, ale być sobą nie przestanie. Teraźniejszość i przyszłość budować można tylko na tym, co jest – inaczej kończy się na budowaniu państwa w myślach i frustracji pocieszającej się, że „głupi ludzie nie dorogli do naszych idei”. Tak! Projekt kseromodernizacji jest po prostu nierealistyczny! Jednym z najpoważniejszych zarzutów wobec imitacyjnej transformacji jest jej przeciwność. Modernizacja albo uwzględni realia, albo polegnie. Sen o resecie (tradycji, pamięci, religii), to droga donikąd. Budować można tylko na tym, co jest – na tej pamięci, tej tradycji, tej religii i tej tożsamości. Jeśli nie z miłości do tego, co mamy, to już choćby dlatego, że inny fundament nie istnieje.

Mit Argonautów przynosi wskazówki, które z pewnością warto rozważyć. Żeby odzyskać należny tron, trzeba pamięci, wielkiego celu, sojuszników i męstwa. By odzyskać władzę nad sobą i nad polis, trzeba mieć wizję, która da siłę i rozmach. Złota Kolchidy nie zastąpi wizja ciepłej wody w kranie. A przecież trzeba też Herkulesowej siły – bo liczyć na zachwyty tych, którzy muszą przesunąć się przy stole, to niebezpieczna naiwność. Jazon musi wiedzieć, że nie wszyscy cieszą się z jego powrotu. Pewnie to właśnie wkładał mu do głowy Chiron: stwórz cel, który porwie i nada sens, zgromadź przyjaciół, nie daj się zastraszyć, no i nie bój się smoków.

Historia Jazona – jedna z klasycznych opowieści o dojrzewaniu do objęcia władzy (nad sobą i państwem) – to również bardzo poważna przestroga. Choć podobna do mitu o kreteńskiej wyprawie Tezeusza, który po wszystkich przygodach wraca gotowy do przejęcia władzy – opowieść o wyprawie Jazona stanowi anty-przykład. W przeciwieństwie do Tezeusza, który dorasta do niezbędnego dla króla formatu, Jazon wraca jako oszust, człowiek zbyt mały, by wdrapać się na tron swojego ojca. Nigdy nie odzyskuje władzy, bo zwiodła go pokusa drogi na skróty – czary, brak zasad, okrucieństwo, dzikość. Zwiodła go Medea. Wprawdzie zdobył złote runo, ale nie wyćwiczył się w królewskich cnotach. Skoro zaś nigdy nie dowiedział się, kim naprawdę jest, nie był zdolny ocenić, kim mógłby zostać. To przestroga pierwsza, ale jest i druga.

Chodzi o nadmiar wspomnień. Według jednej z redakcji mitu, sędziwy Jazon ginie, zwiedzając spróchniały wrak Argo. Zmurszały pokład zawalił się. Bohater, który nigdy do końca nie zrozumiał, kim jest, kończy przygnieciony ciężarem wspomnień. Stary Jazon spacerujący po

spróchniałym pokładzie Argo to obraz pamięci pozbawionej przyszłości – symbol pamięci-pułapki, która staje się śmiertelnie groźna, bo pozwala zapomnieć o przyszłości. Dobrze wiemy, że jest to groźba realna. Przeszłość jest niezbędna, żeby wiedzieć, kim jesteśmy i dokąd idziemy – i tylko po to.